

## WIDMOWE MIASTO PROVIDENCE

*Agnieszka Taborska: Niedokończone życie Phoebe Hicks. Kolaże Selena Kimball. Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2013, s. 130.*

Agnieszka Taborska mieszka w amerykańskim, położonym w Nowej Anglii Providence, największym mieście i stolicy Rhode Island, z kolei najmniejszego ze wszystkich stanów. No, może nie mieszka tam bez przerwy,

bo połowę roku spędza w rodzinnej Warszawie, ale zawsze. Zna je w każdym razie bardzo dobrze.

Agnieszka Taborska jest miłośniczką i badaczką francuskiego surrealizmu, choć nie tylko jego; ostatnio wznowiono jej książkę *Spiskowcy wyobraźni. Surrealizm* (warto przypomnieć tytuł filmu wybitnego czeskiego surrealisty, Jana Švakmajera, *Spiskowcy rozkoszy*). Tłumaczyła też autorów z surrealizmem

związanych, Philippe'a Soupaulta i Gisèle Prassinos. Zna w każdym razie surrealizm bardzo dobrze.

Providence i surrealizm (organiczną część publikacji stanowią odwołujące się do surrealizmu kolażowe ilustracje amerykańskiej artystki Seleny Kimball) to – jak sadzę – dwa czynniki, które spowodowały powstanie książki zatytułowanej *Niedokończone życie Phoebe Hicks*. O pierwszym czynniku i jego niezbędności powiadamia *expressis verbis* sama narratorka-autorka przedstawiona, czyni to w rozdziałiku (tom składa się z sześćdziesięciu krótkich rozdziałów, z których każdy opatrzony jest tytułem) *Zmęczenie domów*: „A teraz kilka słów o mieście, bez którego nie byłoby ani Phoebe Hicks, ani seansów. Bez którego duchy skazane byłyby na wieczne siedzenie po tamtej stronie”. Powinniśmy też napomknąć o dedykacji tej książki: „Magicznemu miastu Providence”.

A surrealizm? Dość chyba przypomnieć zainteresowanie surrealistów mediumizmem, ezoteryką i zjawiskami paranormalnymi. A do tego trzeba dorzucić ich upodobanie do mistyfikacji. Rzecz w tym, że w żadnej historii mediumizmu nie znajdziemy nikogo o imieniu i nazwisku Phoebe Hicks. Już wcześniej zresztą Taborska zdradziła się z żyłką mistyfikatorki, wymyślając Leonorę de la Cruz (w książce z 2011 roku *Senny żywot Leonory de la Cruz*, też ilustrowanej przez Kimbell), świętą Kościoła katolickiego, osiemnastowieczną karmelitankę, wizjonerkę. W jednym z wywiadów opowiedziała o festiwalu literackim poświęconym mistyfikacjom, na którym przedstawiała swoją Leonorę. Uczestnicy, mimo wyraźnie zdefiniowanego tematu festiwalu, nie uznali jej za wymysł polskiej pisarki, dzieląc się na dwie frakcje. Jedni uwierzyli w realne, historyczne istnienie Leonory, drudzy uznali ją wprawdzie za postać fikcyjną, ale sądzili, że wymyślił ją jeden z „ojców-założycieli” surrealizmu Philippe Soupault, współautor (z André Bretonem) *Pól magnetycznych*, wedle *Manifestu surrealistycznego* „pierwszej ściśle surrealistycznej książki”. Ostatniego dnia Taborska postanowiła jednoznacznie wyjaśnić całą sprawę i uczyniła to,

stanąwszy na scenie i przemówiwszy do publiczności. Połowa sali przyjęła wprawdzie jej oświadczenie oklaskami, ale druga połowa poczuła się najwyraźniej rozczarowana, a nawet jakby obrażona. Nawiasem mówiąc, zjawa Leonory od Krzyża materializuje się „w całej krasie podczas pewnego wrześnieowego seansu” i wygląda jak siostra bliźniaczka Phoebe (jest to jednak chyba podobieństwo nie tyle rodzinne, ile mistyfikacyjne). Taborska przedłuża zabawę: najbardziej ocytana uczestniczka seansu wspomina na kolejnym ezoterycznym spotkaniu „bohaterkę słusznie zapomnianej osiemnastowiecznej francuskiej powieści nieznanego autorstwa, Leonorę de la Cruz”, a Phoebe jest bezgranicznie zdumiona, że fikcyjna postać wygląda niemal tak samo jak ona. No cóż, nie wie, że sama też jest fikcyjną postacią, w dodatku wymyśloną przez tę samą pisarkę.

Zapewne niektórzy, niezrażeni brakiem informacji o Phoebe Hicks w Internecie (z wyjątkiem wzmianek o książce Taborskiej), zaczęły szukać tej postaci gdzie indziej, w poźółkłych tomach o ezoteryce, w starych księgach adresowych Nowej Anglii, w rocznikach amerykańskich czasopism z połowy XIX wieku... Może zresztą gdzieś ją wreszcie znajdą. Nie ma przecież powodu, dla którego mielibyśmy uznać, że pod przemożnym wpływem literatury pięknej jakaś postać nie może pojawić się w historii świata, gdzie do tej pory jej nie było. Szczególnie że postać ta materializuje się nam (bez pomocy ektoplazmy, na kartach książki) jako bardzo wyrazista, choć o wiele jej cech i pobudek autorka raczej pyta, niż je stwierdza, raczej snuje dotyczące nich przypuszczenia, niż narzuca czytelnikom jednoznaczne konstatacje. Padają słowa „a może” i mnożą się znaki zapytania. Na przykład: „A może to nie Phoebe wpadała w trans, lecz uczestnicy seansów?”. Albo: „A może tajemnica otaczająca jej życie miała początek wcale nie w eterycznych kontaktach z duchami, lecz jakże fizycznych związkach z żywymi ludźmi? Może nasza niewiedza wyrasta z wiktoriańskiego zakłamania? Może Phoebe Hicks była przede wszystkim świadomą swojej seksualności piękną kobietą?”. Przypuszczenia te

snuje wykreowana narratorka tej historii. Ale nie powinniśmy zapominać o realnej autorce, jej fascynacji wiedzą o mediumizmie i głębokiej znajomości zagadnień okultystycznych i historii ezoteryki. Ten literacki żart jest tak udany dzięki owej fascynacji i owej głębokiej znajomości.

Czy Phoebe jest, jak tyle zdemaskowanych mediów, oszustką, czy też istotnie potrafi wywoływać duchy? Początkowo wszystko wydaje się jasne. Phoebe zatrała się kawałkiem małża, wymiotowała, a pewien wścibski fotograf zrobił jej zdjęcie. Ponieważ stosował dopiero co wynalezioną technikę talbotypii, inaczej zwanej kalotypią, zdjęcie było nieostre i „w półprzezroczystej zawartości misy ktoś ujrzał wydobywającą się z ust przyszłego medium ektoplazmę”, w wyniku czego przed Phoebe otworzyła się niespodziewanie droga do mediumicznej kariery, tym bardziej że właśnie „czas dojrzał do spirytystycznych seansów”. Wszystko jasne, żadnych duchów nie było. Czytamy przecież, że to nieświeży kęs małża „położył podwaliny pod szaleństwo, które na kilkadziesiąt lat opanowało umysły i serca nowoangielskich purytanów”. A więc szaleństwo, zbiorowa mania... Później jednak w książce zachodzą zjawiska, których niepo-

dobną nią wytłumaczyć. Na przykład pojawienie się ducha Harry'ego Houdiniego, słynnego iluzjonisty, a także demaskatora fałszywych mediów, osoby, która przyszła na świat ćwierć wieku po seansach w domu Phoebe (konkretnie w roku 1874), a więc kogoś, o kim świat nic jeszcze w dobie tych seansów nie mógł wiedzieć (warto tu zauważyć, że Houdini miał kontakty z najsłynniejszym chyba mieszkańcem Providence, H.P. Lovecraftem). Albo „natrętne materializacje” ducha osoby żywej, wówczas dziecka, w którym bez trudu rozpoznajemy Zygmunta Freuda. Nie darmo więc pojawiają się w książce słowa o „niepokojącej dwuznaczności” tego, co wiemy o Phoebe (ściślej biorąc, należy tu mówić o tym, co wie o niej narratorka). Owszem, w ostatnim rozdziałiku książki znajdziemy w odniesieniu do Phoebe słowa „mediumiczna hochsztaplerka”, zarazem jednak czytamy, że jej duch „jeszcze nie pokazał, na co go stać...”. Jesteśmy chyba w miejscu znoszenia się przeciwieństw. Phoebe jest i nie jest hochsztaplerką, duchy mogą i nie mogą objawiać się żywym, istnieją i nie istnieją. Jakież to surrealistyczne!

*Leszek Engelking*